

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Zabytki dawne.

Zabytki dawne.

Podajemy tu drugi rysunek Gierymskiego, przedstawiający szczyt domu przy ulicy Wązki Dunaj. Ulica ta leży tak daleko od środka miasta i tak mało jest uczęszczana, że dużo zapewne znalazłoby się stałych mieszkańców Warszawy, którzy nigdy na niej nie byli. Gierymski ma osobliwszy talent odtwarzania tych zabytków, najdrobniejszy szczególnie pochwycony jest tak umiejętnie w jego rysunkach, że nie tylko podobieństwo kształtów, ale i cechy charakterystyczne budynków wybitnie w nich występują.

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

VII.

Nadeszła wreszcie chwila od dawna oczekiwana, nie miał już Sobieski żadnego powodu do odkładania koronacji i zjechał do Krakowa w Styczniu r. 1676 z nowym wawrzynem na skroni; chciał on z tą uroczystością załatwić się w porze zimowej, aby na wiosnę być znów gotowym do boju. Na zamku wawelskim oczekiwały na niego zwłoki dwóch poprzedników, dwóch królów polskich; pogrzeb Michała Wiśniowieckiego odroczone był we-

dług zwyczaju do koronacji jego następcy, a tymczasem umarł we Francji Jan Kazimierz i ciało jego przewieziono było także do Krakowa, aby spoczęło w grobach królewskich. Wszystkie klęski, wszystkie nieszczęścia, które spadały na kraj w czasie panowania tych dwóch królów, zażegnane były w chwili obecnej przez bohatera, postępującego za ich trumnami; on dopiero podźwignął godnie tę koronę, która dla nich była za ciężką.

Dnia 2. Lutego odbył się obrzęd koronacji, rozrzucono pomiędzy tłumy pieniążki, na których wyryty był miecz wawrzynem owinięty i korona z napisem: „Przez te do tój.“ Rozpoczął się sejm koronacyjny. Król teraz dopiero miał prawo rozdawać urzędy i dostojęstwa, a było niemało opróżnionych. Ze zwykłą sobie szlachetnością, zapominając o wszelkich urazach, Sobieski najwspaniałej obdarzał dawniejszych swoich przeciwników. Wielkim hetmanem po sobie mianował Dymitra księcia Wiśniowieckiego, dla przyjaciela swego Jabłonowskiego pozostawił buławę polną. Laskę marszałkowską oddał Lubomirskiemu, synowi Jerzego, po którym nigdy sam ją odziedziczył.

Sejm odbył się zgodnie i spokojnie; nowy król przeprowadził na nim uchwały bardzo pożyteczne, podatki na potrzeby wojenne i ustanowienie stałych pułków piechoty. Brak piechoty był zawsze słabą stroną wojsk polskich. Myślał też Sobieski o różnych reformach w rządzie i ustawach krajowych, a że zachodziła tego potrzeba, najlepszym jest dowodem niedorzeczne przysłowie, powtarzane przez ojców naszych. „Polska nierządem stoi.“ Po niewczasie niestety! przekonano się, że nierząd zawsze wcześniej czy później prowadzi do upadku. Czuł to najlepiej Sobieski, który tyle ucierpiał przez całe swoje życie z powodu owego rozprzężenia rządów w Polsce. Ale najlepsze jego chęci, najgieniałniejsze pomysły, rozbiły się o niezwalczony opór szlachty, rozmiłowanej w złotój wolności. Uczynił więc co mógł, a i to było niemało.

Spełniły się przeczucia króla Jana, że wiosna nowe sprowadzi kłopoty ze strony Turków. Umarł był właśnie Ibrahim Pasza, który znał się dobrze z Sobieskim i wiedział, że z nim nie łatwa sprawa, a dowództwo główne nad wojskami sułtana objął inny Ibrahim, z przezwiskiem Szajtan, to jest szatan; otrzymał je z powodu swój dzikości i postrachu, jaki budził w wojsku. Ten namówił sułtana do nowej wojny z Polską i wnet groźna nawała muzułmańska spadła na Ruś Czerwoną, zajęła Pokucie, straszliwe zagony tatarskie przelatywały po kraju, mieczem i ogniem, wedle zwyczaju swego, torując sobie drogę.

A w Polsce także wszystko szło po dawnemu, nie kwapiono się zbyt do obrony, przeciwnie,

znowu już podnosiły się szemrania podejrzliwe, że król dla osobistych jakichś widoków chce ściągać niepotrzebnie siły wojenne. Niechętnie i leniwie zbierano podatki, a nowo zaciężni żołnierze opuszczali stanowiska i do domów się rozchodzili. Jeden tylko król nie namyślał się długo, nie tracił czasu na bezużyteczną walkę z niesfornością narodu, lecz po swojemu zerwał się, i z nieliczną garstką wiernego rycerstwa pomknął śmiało na spotkanie ogromnych zastępów nieprzyjacielskich. Armią turecką obliczano na 200,000, Sobieski miał zaledwie 16,000 żołnierzy. Według ustaw krajowych, teraz po koronacji naczelne dowództwo nad wojskiem należało do hetmanów, ale żaden z nich nie pomyślał nawet w chwili tak strasznego niebezpieczeństwa upomnieć się o swoje prawa. Jan III. stanął sam na czele hufców, które tyle razy wiódł do zwycięstwa i tam ocalał nawet, gdy zguba zdawała się nieuniknioną.

Czytając opisy wiarogodne wojennych czynów Sobieskiego, mimowoli stają nam w myśli owe epopeje starożytne, opiewające nawpół bajecznych bohaterów, którzy z nieustraszoną odwagą porywają się na olbrzymów, na smoki potężne, i zwyciężają. Bo i teraz w nierównej tej walce z chmarami bisurmanów odniósł on najświetniejsze zwycięstwo. 22 Września przeprowił się król Jan przez Dniestr i po kilku drobnych utarczkach z ordami tatarskimi zajął obronne stanowisko pod zamkiem Żórawnem. Zgromadził tam ile tylko mógł amunicji i zapasów żywności, zabrał się zarazem całą siłą do sypania szańców, kopania fos i wznoszenia redut. Lewe skrzydło wojska polskiego opierało się o zamek Żórawno, prawym bokiem przytykało do lasów i bagien rozległych, od tyłu osłaniał je Dniestr, z przodu płynęła mała rzeczka Świecza. Obóz polski stanął w tém miejscu, przez samą przyrodę zabezpieczonem, umocniwszy je jeszcze wszelkimi sposobami, w ówczesnej sztuce wojennej używanymi. Turcy rozłożyli ogromne swoje wojsko po obu brzegach Dniestru, przyprowadzili też z sobą potężną artylerię, która niedawno dzielnie się sprawiała przy zdobywaniu Kandyi.

Tym razem klęska zdawała się nieuniknioną dla tej garstki walecznych, obsaczonej dokoła przez nawałę Azyatów, łączących instynkta barbarzyńskie ze sztuką wojskową ludów cywilizowanych. Z kraju nie mógł Sobieski spodziewać się rychłej pomocy, zbierano tam wprawdzie pospolite ruszenie, ale to szło leniwie, jak zwykle. Znowu więc sam jeden miał ojczyźnie stanąć za wszystko. Oblężenie trwało przez dni dwadzieścia. Co rano król Jan, wezwawszy Boga na pomoc, wychodził śmiało z obozu, uderzał na przednie straże nieprzyjaciół, niepokoił ich, nużył, a czasem gromił

dzielnie. Turcy znów często wyprawiali sobie dzieki jakieś igraszki z tą gromadką bohaterskiego rycerstwa. Występowali całą siłą ze swoich stanowisk, rozwijali chorągwie i przy odgłosie muzyki janczarskiej, prowadząc słonie i wielbłądy, przeciągali przed obozem polskim, jakby chcieli wywabić z niego wojowników na nierówną i śmiertelną walkę. Lecz po chwili, nahałasowawszy tylko jakby dla zabawki, powracali pod namioty. Sądzieli zapewne, że niewarto było zadawać sobie trudu mordowania rycerzy, którzy i tak z głodu i znużenia zginąć musieli niezadługo.

Utarczki jednak powtarzały się ciągle, hetmani, Dymitr Wiśniowiecki, Jabłonowski, Michał Pac, cudów waleczności dokazywali, uganiając się za oddziałami nieprzyjacielskimi. Parę razy, nie mogąc podołać przemagającej sile lub w zasadzkę zwabieni, o mało nie ponieśli stanowczą klęskę, lecz zawsze w chwili największego niebezpieczeństwa zjawiał się król Jan, jak anioł wybawiciel

klęska zamieniała się w zwycięstwo. Turcy wzięli się na inny sposób, zaczęli miny podkładać i zamierzali obóz polski wysadzić w powietrze. Ale król urządził śmiałą wycieczkę, wpadł z nienacka na pracujących i zniszczył podkopy ich do szczętu. Szajtan Pasza szalał ze złości i postanowił raz koniec położyć takiemu zuchwalstwu.

Ogromna armia muzułmańska nie na żarty już teraz spuściła się na wybrzeże Świeczy i usiłowała się przez nią przeprawić, aby zgnieść obóz polski. Sobieski nie czekał tej strasznej powodzi, która go z łatwością zalać mogła samą liczbą, wysłał na spotkanie wroga hetmana Jabłonowskiego, a ten przez parę godzin powstrzymał zdołał Turków, później przybył mu w pomoc Wiśniowiecki ze świeżym oddziałem, w końcu jednak siła przemożła i chmary tureckie wdarły się na drugi brzeg rzeki. Straszny powstał popłoch pomiędzy rycerstwem polskim, poczęło się cofać ku okopom. Już wszystko zdawało się stracone, gdy nagle, jak Jowisz gromowładny, (według słów jednego z historyków dawniejszych) zjawił się na polu bitwy Jan III. Sam widok jego przeraził muzułmanów, a Polakom dodał otuchy; zmieniły się losy bitwy, świeży oddział dzielnych usarzy, przyprowadzony na odsiecz przez króla, zabiegł od tyłu i natarł z taką gwałtownością, że złamał szyki Turków i do szczętu ich rozgromił. Wzięci we dwa ognie, trupami zasłali pole bitwy. Szajtan Pasza, do wściekłości doprowadzony, nadbiegł na ratunek z najdzielniejszymi swymi janczarami. I znów szala zwycięstwa wahać się poczęła, ale król Jan użył genialnego podstępu, udał ucieczkę, a gdy nieprzyjaciel puścił się za nim w pogoń i zapędził się nierozważnie aż pod sam ogień polskich baterij,

on nagle się odwrócił i natarł tak mężnie, że Turcy w najwyższym przerażeniu uciekać zaczęli. Straszna to była bitwa, rzeź prawdziwa, tysiące Turków i Tatarów, a między nimi kilku paszów, padło dnia tego nad rzeką Świeczą. Mieli też i Polacy chwilę wielkiej trwogi, król Jan w zapale wojennym zapędził się tak daleko sam jeden, że znikł w tłumie janczarów, i o mało nie dostał się do niewoli. Opatrzność jednak czuwała nad nim, wojsko rzuciło się w porę na ratunek ubóstwianego wodza, uniesione zapalem biegło potem za uciekającym nieprzyjacielem, wpadło aż w okopy tureckie i zniszczyło im kilka baterij.

Następnego dnia obie strony wypoczywały, ale strach padł na Turków; ta wytrwałość, to mężstwo niepojęte garstki obleżonych, wydawało się zaobsonnym Muzułmanom jakimś zjawiskiem nadprzyrodzonym, przypisywali je czarom. Co do Sobieskiego, usposobienie jego bohaterskiego ducha maluje najlepiej ustęp z listu, który pisał do żony z pod Żórawna: „Nic piękniejszego od ich obozu. (Turków.) Miljony namiotów, a trzeba przyznać, że armia jest wielka, piękna i wyćwiczona. Gdy w nocy zapalą ognie, jest na co patrzeć. Właśnie tak bywa grób z lamp zrobiony w Wielki piątek u Bernardynów.“

Szajtan Pasza zmieknął znacznie po tak haniebnej porażce i nie mając żadnej ochoty urządzać nowej wycieczki na obóz Sobieskiego, wysłał doń agę, ofiarując pokój na takich warunkach, jakie przyjął był niegdyś król Michał w Buczaczu. „Niech aga oznajmi swemu panu, odrzekł spokojnie Jan III, że szubienica czeka w obozie polskim tego, kto po raz drugi odważy się przynieść podobne poselstwo.“ W godzinę ozwały się armaty tureckie, kula przedziurawiła namiot króla. Straszliwa kanonada nie ustawała ani na chwilę, dokoła małego obozu polskiego szerokim murem rozłożyli się Muzułmanie, teraz już postanowili zmódr głodem nieustraszonych bohaterów.

Znowu więc zguba zdawała się nieuniknioną, Polacy zaczęli upadać na duchu, na radzie wojennej podniósł głos hetman Pac i począł przekładać królowi, że należało przyjąć pokój, choćby nawet upokarzający, bo wojsko nie jest w stanie wytrwać dłużej. „A więc niech uchodzi kto chce, rzekł król w szlachetnym oburzeniu, ja tu zostaję i zginę z orężem w ręku; po moim trupie wnijdą niewierni do serca Rzeczypospolitej.“ Potem wskoczył na koń i przebiegając szeregi wołał: „Towarzysze, wszak nieraz z gorszej wywiodłem was toni. Czyliż komu się zdawać może, iż głowa moja osłabła, gdyście koronę na nią włożyli?“

Na głos jego wojsko, porwane zapalem, przysięgło wytrwać przy ukochanym królu. Zamiast

trwożyć się nieustającym bombardowaniem, żołnierze zbierali bomby, kule i granaty, Sobieski płacił im za nie i baterie polskie opatrywały się tym sposobem w amunicyą. Odsyłano nieprzyjacielowi jego własne pociski. Turcy, nie mogąc pojąć tego, wyobrażali sobie, że jakieś tajemne posiłki zdołały przedrzeć się do oblężonych, przerażili się tą niepojętą odwagą, która z nich szydzić się zdawała, zaczęli podejrzycić jakiś niespodziewany podstęp.

Tymczasem król Jan uczynił rozpaczliwe postanowienie. 14 Października zgromadził wszystkie swoje siły i gotował się do walnej bitwy z oblegającą armią Muzułmanów. Szajtan Pasza, widząc to, nie mógł uwierzyć, aby Polacy porwali się na tak przemagającą siłę bez jakiejś tajemnej rachuby, uląkł się w ostatniej chwili, i gdy król Jan, wezwawszy Pana Zastępów, dawał już hasło do boju, nadbiegło dwóch Paszów, ofiarując mu pokój. A nie śmiał upokorzony Turczyn występować z owemi haniebnymi warunkami, za które mu szubienicą zagrożono, pokój żurawiński był tak zaszczytny dla Polski, że nawet po zwycięstwie mógłby być przyjęty. Sławna pisarka francuzka, pani de Sévigné, pisała o tém w listach swoich zwykłym lekkim i żartobliwym stylem. „Najważniejszą wiadomością na dworze (francuzkim) jest pokój zawarty przez króla polskiego z Turkami w sposób prawdziwie romantyczny. Bohater ten na czele piętnastu tysięcy, otoczony dwukroćstotysięcznym wojskiem, zmusił je z orężem w rękę do podpisania korzystnego traktatu.“

Na mocy traktatu żórawińskiego oddawano Polsce wszystkie zabrane prowincye i miasta, oprócz Kamieńca i trzeciej części Ukrainy, która miała pozostać w rękę Kozaków pod hołdem tureckim, zwracano jeńców, zabezpieczano swobodę handlu, obowiązali się Turcy powstrzymać Tatarów od rabunku na ziemi Rzeczypospolitej, przyrzekli i sami nie najeżdżać jój nigdy w czasie wojen swoich z innymi narodami, a nadto powrócić katolikom kościoły zabrane w Jerozolimie. Bohater chrześcijański, na wzór krzyżowców, stawał w obronie grobu Świętego. Dalsze układy miały być prowadzone w Konstantynopolu. Wojsko tureckie, obawiając się bliżkiej zimy, spieszyło z powrotem do kraju, wprzód jednak uprosiło sobie, aby mogło oglądać z bliska niezwyčajonego lwa Lechistanu i tłumy Turków i Tatarów przeciągały przed nim, wznosząc na cześć jego okrzyki, oddając hołd najwymowniejszy wielkiej sławie bohatera. Odprowadzono też natychmiast do obozu polskiego piętnaście tysięcy jeńców.

Król Jan chciał pozostać jeszcze czas jakiś w bliskości granic, dopilnować odwrotu nieprzyja-

ciela, z bronią w rękę doczekać się potwierdzenia traktatu. Ale niełatwa to była sprawa wymóżyć coś podobnego na rycerstwie polskim; jak tylko minęły chwile zapału, wszystko powracało do zwykłej niesforności. Nie było więc rady, wojsko ruszyło z powrotem, a przeprawiwszy się przez Dniestr, spotkało Michała Radziwiłła, szwagra królewskiego, który teraz dopiero ciągnął z pospolitą ruszeniem. Oba wojska powitały się z radością najwyższą, uderzono w bębny, strzelano z dział, ściskano się i wydawano okrzyki na cześć ukochanego króla bohatera. Wysłuchawszy mszy Ś-tój na polu, razem już podążono dalej. Po tylu strasznych walkach, miała nakoniec Polska dłuższego zakosztować pokoju.

(D. c. n.).

NIEPOSLUSZNY KRÓLEWICZ.

SZÓWKO WSTĘPNE.

Za moich dziecinnych czasów, ilekroć zdarzyło mi się znaleźć na rozległej równinie, ogarniała mię zawsze niepohamowana ochota biedz daleko, aż tam, gdzie niebo z ziemią się łączy, jak to wydaje się z powodu kulistego kształtu ziemi niedoświadczonemu oku. Chętka ta wędrowki była tak gwałtowną, że aż wystrzegano się brać mię na przechadzki w pola, gdy zaś trudno było tego uniknąć, starano się wpłynąć na mnie opowiadaniem różnych powiastek i bajek o zbłąkanych dzieciach. Między innymi, pewna pani bardzo zacna i dobra, ale nad miarę wykwinтна, nie pochwalając wcale najmilszych mi bajek ludowych, opowiedziała mi raz sama bajkę, którą zamierzam tu powtórzyć. Muszę wszakże uprzedzić, że bajka ta jest oparta na *mitologii* greckiej, której zasadą było wielobóstwo.

Nie trzeba przecież mniemać, aby Grecy starożytni wszyscy nie wiedzieli, że Bóg jest jeden, jedyny. Dowiedzioną owszem jest rzeczą, że wiedzieli o tém, bo tradycye świętej prawdy istniały od początku świata. Ale z czasem istniały one już tylko dla filozofów, to jest ludzi kochających naukę mądrości prawdziwej. Ogół ludu, pod wpływem przecudnie pięknej przyrody, zapomniał lub poprzekręcał tradycye, a ubóstwił sobie różne objawy sił i potęg przyrody. Bogata wyobraźnia grecka uosobiła i ubóstwiała przeróżne pojęcia i uczucia, i oddawała pod opiekę takich wymarzonych bóstw wszystkie swe zajęcia. Czasem też i mędracy prawodawcy ubóstwiali i uosabiali w ten sposób cnoty i występki, a to w celu zachęcenia ludu do uwielbiania cnoty i obawiania się występku, dla szczęścia całej ludzkości.

Tak powstała zwolna religia alegoryczna i poetyczna pogańska. Co zaś do nazwy mitologii jaka jej daje się pospolicie, choć Grecy tak jej nie nazywali, to pochodzi nazwa ta z wyrazu greckiego *Mythos* który po grecku znaczy: *podanie*, lub *opowiadania*. A więc wyraz *mitologia* znaczy: zbiór podań.

Na cząstce maleńkiej takich podań osnutą więc jest bajka, którą mi opowiedziała wykwintna pani, aby naprawić mi smak zepsuty, wedle jej zdania, na ludowych naszych bajkach. Sensem moralnym tej bajki jest: że nie trzeba gonić za *nieznaném*, ponieważ szczęście nasze prawdziwe jest zawsze tuż przy nas, a zasadza się na ścisłym wypełnianiu naszych obowiązków.

NIEMOSEUSZNY KRÓLEWICZ.

Za siedmiu morzami, za siedmiu górami,
Gigantes, król wielki, w królestwie bogatém
Panował wraz z żoną: nieszczęśni i sami,
Bo syn im jedynak zatęsknił za światem.

Napróżno mówili rodzice i sługi,
Że niema królestwa, jak jego kraina,
Królewicz zapragnął świat przebyć, jak długi,
I zająć, aż gdzie niebo się jasne zaczyna.

Tak pragnął, aż ojciec i matka strapieni
Puścili go na świat, bo marł już z tęsknoty.
Więc poszedł, gdzie zorza się rankiem rumieni,
A ziemię od nieba przedziela pas złoty.

Szedł długo królewicz, podobno szedł lata,
Nim doszedł, gdzie niebo najbliższe jest ziemi,
A właśnie się burza srożyła wśród świata,

Więc skrył się królewicz przed wichry dzikiemi
Do chatki różanej, stojącej pod skałą.

Na skale strzaskanęj mąż olbrzym brodaty *)
Stał z berłem i z muszlą potężną i białą.

I w muszlę, jak w trąbę, mąż trąbił na światy.
Zaledwo królewicz się schronił do chatki

Wnet krzyknie gospoia staruszka z przestra-
[chem:

— O dziecko ty ludzkie! pójdź, utul się w kwiatki,
Bo leci Boreasz **), aż wstrząsa róż gmachem.

Więc wskoczył królewicz w wysoki stos kwieci,
Bo z kwiatów tam spręty, i pościel, i łożo,
I patrzy przez kwiaty, wtém straszny człek leci
Skrzydlaty, a smoczym ogonem świat orze,
Na głowie i brodzie szron niesie zimowy,
A w okół tumany piaszczyste rozburza.

Tak dopadł do skały, na trąby ryk nowy,
I zapadł w szczelinę i zcichła wnet burza.

A kiedy on leciał, to zimno straszliwe
Tak wszystkich przejęło, i kwiat, i człowieka,

*) *Eolus*, mający sobie poruczoną straż nad wichrami które więził w skale i wypuszczał tylko na rozkaz innych bogów.

**) *Boreasz*, wicher północny, tak wyobrażany, i najdokuczliwszy dla Greków.

Że skostniał królewicz i kwiaty wpół żywe,
Aż drżąca gospoia zawoła z daleka:

— Odwagi! nadziei! kwiateczki wy moje!
Odwagi! nadziei! o ludzkie ty dziecię!
Zapadnie Boreasz w skaliste podwoje,
Nadleci Zefirek i znów odżyjecie.

Gdy ona mówiła, ustawał mróz dziki,

I miłe a świeże poczęły wiać wonie,
Królewicz, lilije, różyczki, gwoździki,
Poczęły oddychać, podnosząc znów skronie.

Na skrzydłach motyli wpadł młodzian *), jak
[wiosna.

Z fiołków pachnących miał wieniec na skroni,
I w chatce zawrzała swawola radosna,

Gdy młodzian z kwiatami, wśród czarów i woni,
Co tchnęły rozkoszą, jał pieścić się tkliwie.

Królewicz, chcąc nie chcąc mn skoczył na szyję,
Bo czuł się szczęśliwym, jak kwiatek na niwie,
Gdy rankiem wiośniwym poczuje, że żyje.

A potem królewicz z Zefirkiem wśród kwiatów
Do snu się pokładli, w przyjaźni serdecznój,
Bo w chatce tej Zefir, gdy znika ze światów,
Spoczywa z rozkazów potęgi przedwiecznój.

Lecz z brzaskiem nazajutrz już Zefir wstał hoży,
Królewicz też zaraz się ze snu porywa,

I prosi, by Zefir go zabrał w świat Boży,
Gdzie niebo się wszczyzna, a kończy się niwa.

— I owszem! — odpowie Zefirek serdeczny,
I wyjął dwa skrzydła z kwiecianej komody,
Królewicz je przypiął: i w kraj napowietrzny,
Już lecą obydwa nad lasy i wody.

Przez mirty, wawrzyny, zapadli w łąn kwieci
Stubarwny, stuwonny, a śpiący w ros blasku,

Z którego też światu ów złoty pas świeci,
Gdy Zefir przebudza tam kwiaty o brzasku.

Bo łąn ten w tém miejscu rozciąga się właśnie,
Gdzie ziemia się z niebem u wschodu jednoczy.

Wtém poczuł królewicz, że życie w nim gaśnie,
I omdlał z rozkoszy, wśród wonnych przezroczy.

Uśmiechnął się Zefir i z lekka się chyli
Nad śniącym, jak motyl wśród lilii i róży,

I rzecze: — Ja tracić nie mogę i chwili,
Odpocznij, człowieku, gdy szczęście cię nuży,
Na progu niebiosów, śnać niebo nie dla cię.

Ja Florze **) pobudzić tu muszę jej dzieci,
A potem odlecim, i spoczniesz w mój chacie.

I cmoknął go w czoło, do kwiatów odleci.

Spoczywał królewicz, od woni wpół żywy,
Na łąnie kwiecistym, u progu niebiosów,
A tuż już nad głową niebiańskie miał niwy
Gwiazd pełne, jak ziemskie są kwiatów i kłosów.

(D. n.).

*) *Zefir* wietrzyk łagodny, południowo-zachodni, szczególnie przyjazny roślinności.

**) *Flora* bogini kwiatów, które uważały się za jej dzieci.

BOŚNIACZKI.

Bośnia niedawno, w czasie ostatniej wojny Rosyi z Turcyą, oderwaną została od państwa otomańskiego i przeszła pod opiekę Austrii. Kraina ta odznacza się pięknem, górzystem położeniem, mieszkańcy jęj są pochodzenia słowiańskiego. W czasach zawojowania półwyspu bałkańskiego przez Muzułmanów, Bośniacy łatwiej od innych Słowian przyjmowali wiarę Mahometa dla uniknięcia prześladowań, ztąd wytworzyła się osobna klasa potomków dawnych renegatów, którzy zostali przy własności ziemi i uciskali nieszczęśliwych swych braci chrześcijan, wyzutyh z majątków. Obszerny opis Bośni i jęj mieszkańców podany już był w Pismie naszym w r. 1880, nie możemy więc go powtarzać. Rycina nasza przedstawia Bośniaczki chrześcijanki, to jest z klasy uboższej,

SZKOŁA DOŚWIADCZENIA.

Opowiadanie,

dla swoich siostrzeniczek

napisała

S. Wanda Janczewska.

(dalszy ciąg).

To mówiąc, przycisnęła dzieci do łona. Młodsze jęj córeczki ucałowały ją serdecznie, ale Cesia obojętnie przyjęła uścisk matki.

— Jużbym wolała pojechać do pani Fiałkowskiej na wieś — mruknęła z niezadowoleniem.

— Jakto, chciałabyś rozłączyć się z matką, z siostrami? — zapytała z żalem pani Rogowska. — Chciałabyś porzucić rozpoczęte nauki i możliwość zdobycia sobie z czasem własnego kawałka chleba?

— Przynajmniej nie patrzyłabym na biedę i nie byłabym zmuszoną wyrzekać się wszystkich przyjemności, byłabym wesołą i szczęśliwą — odparła Cesia, nie czując, jak boleśnie temi słowami raniła serce matki.

— Nie wiesz sama co mówisz, i nie wierzę, żeby serce twoje było dla nas tak obojętne, iżbyś mogła nas się wyrzec dla jakichś rozrywek i przyjemności wśród obcych, dla weselszego życia, które zresztą ciężko zwykle okupić trzeba.

Na tém się skończyła ta niemiła rozmowa i długi czas nie wspomniano o wyjeździe do pani Fiałkowskiej.

Pani Rogowska, urządziwszy się skromniutko, ale dość wygodnie w swoim nowém mieszkaniu, wynajęła kilka kobiet i założyła pralnię, z której dochód przy ścisłej oszczędności wystarczał na utrzymanie jęj rodziny. Ponieważ jednak

nie miała dostatecznych funduszków, aby kształcić dalej wszystkie swoje dzieci, więc tylko Cesia uczyła się na pensyą, dwunastoletnia zaś Kazia zaczęła się uczyć krawieczyny, a młodsza o rok od nięj Mania z wielką ochotą uczyła się robić kwiaty, do czego okazała z czasem wiele gustu i zamiłowania.

Przy pracy i wzajemném przywiązaniu, ta mała rodzina, razem żyjąc, mogłaby być szczęśliwą, gdyby... przykro to wyznać, gdyby nie Cesia.

Wzięła się ona z początku niby bardzo gorliwie do nauki, ale z czasem ostygła w dobrych chęciach i zaczęła się po dawnemu zaniedbywać. Zapomniane przytęm na jakiś czas kaprysy i wymagania znowu się w nięj odezwały, wszystko w domu było dla nięj złe, smutne, brzydkie, niesmaczne; przy każdym obiedzie krzywiła się bez miary na nie dość dobre dla nięj potrawy, chociaż matce i siotrom smakowały; z każdego spaceru wracała smutna, wzdychająca, przypominająca sobie widocznie stroje, jakich sama mieć nie mogła. Była przytęm tak leniwa i nieporządna, że nietylko nie pomogła nigdy matce w zajęciach domowych, ale obojętnie patrzyła, jak biedna ta matka, zmęczona całodzienną pracą, naprawiała dla nięj sukienki późnym już wieczorem. Wszelkie uwagi i surowsze nawet napomnienia matki nie skutkowały wcale, odpowiadała na nie łzami, narzekaniem i wiecznie złym humorem, skutkiem czego stała się prawdziwie nieznośną w domu.

A jednak Cesia nie była złą w gruncie, często odzywało się w nięj dobre serce, i chęci nawet miewała najlepsze; cóż z tego, gdy brak wytrwałości, lenistwo, zarozumiałość i to niedorzeczne przekonanie, że należy jęj się w życiu los lepszy, niż wielu innym, bez trudu i mozołu, niweczyły jęj wszystkie dobre zamiary i porywy serca.

Tak minął rok jeden, a gdy z nadejściem egzaminów Cesia znowu nie dostała promocyi do wyższej klasy, pani Rogowska, pomnąc na warunek stawiany przez przełożoną pensyi, przekonała się z ciężkiem zmartwieniem, że córka jęj nie może kończyć nauk, na które zresztą czas był zupełnie dotąd zmarnowany.

— Zawiodłaś moje najmilsze nadzieje — powiedziała pani Rogowska z wyrzutem — Cesi, co z ciebie będzie?

Cesia rozplakała się serdecznie, przypadła do kolan matki i zaczęła ją całować i przepraszać.

— Nie przepraszaj mnie, boś sobie największą tylko krzywdę wyrządziła — rzekła matka łagodniej — do czegoż weźmiesz się teraz? Patrz siostry twoje młodsze, a jak chętnie biorą się do pracy, za parę lat każda z nich zarobi już na wła-

sne utrzymanie i ja, zamykając oczy, będę o nie spokojna. Ale ty...

— Ach, niech mama tylko o śmierci nie mówi; mama żyć będzie długo jeszcze i przekona się, że niepotrzebnie o mnie się tak kłopotala. Wszystko jeszcze będzie dobrze.

— Dajże Boże; ale do czegoż ty masz ochotę? Czy chcesz się uczyć kwiaty robić jak Mania, czy z Kazią będziesz chodziła do szycia?

— Moja mamo... mateczko... — jękała Cesia — Czemuż nie chcesz mnie posłać do pani Fiałkowskiej? Jest tam podobno nauczycielka i ja teraz już będę dobrze się uczyła... Zresztą nie będę ci ciężarem w domu...

Pani Rogowska ani słyszeć o tém z początku nie chciała, ale gdy z czasem przekonała się, że Cesia ani myśli wziąć się do jakiegóś pracy, a tylko coraz więcej się rozprónowywa, gdy kaprysy jęj i wymagania stawały się coraz trudniejsze do zniesienia, przyzwoliła na ten wyjazd, mając nadzieję, że pobyt w obcym domu poprawi ją i przywiedzie do rozsądku. Radość, jaką okazała Cesia z tego pozwolenia, zasmuciła głęboko panią Rogowską, która zaczęła wątpić zupełnie o sercu córki. Teraz Cesia była ciągle w wybornym humorze, rozmawiała tylko o swoim przyszłym pobycie w Wierzbinie (tak się nazywał majątek pani Fiałkowskiej), cieszyła się zawczasu przyjemnościami, jakie ją tam czekały i puszczała mimo uszu wszystkie czynione sobie przez matkę uwagi i przestrogi.

Pani Rogowska z sercem ściśnioném przygotowała jęj małą wyprawkę, sprawiła kilka sukienek i zaopatrzyła w inne potrzebne rzeczy, napominając, żeby je oszczędzała i szanowała, wiedząc, jak ciężko matce było się na nie zdobyć. Cesia obiecywała niby zastosować się do tego, w duchu jednak myślała, że gdy będzie w Wierzbinie, nie zabraknie jęj pewnie najpiękniejszych sukien, w które pani Fiałkowska nie zaniedba ją zaopatrzyć. Nadszedł nareszcie pożądaný dzień wyjazdu i Cesia, mimo swęj radości, uczyła prawdziwy żal na chwilę, żegnając się z matką i siostrami, których długo nie miała zobaczyć. Pojechała w towarzystwie pewnej pani, znajomej swęj matki, która jadąc na kuracyą za granicę, obiecała odwiedzić ją po drodze do Wierzbina, leżącego o czterdzieści przeszło mil od Warszawy.

Gdy po całodziennęj podróży koleją i końmi dojeżdżała wreszcie do miejsca przeznaczenia, serce mocno bić jęj zaczęło z nieokreślonego jakiegóś niepokoju i obawy. Przypomniała sobie wszystko, co matka jęj mówiła o pobycie w obcym domu, czuła się onieśmioną na myśl, że ma wejść pomiędzy zupełnie nieznanne sobie osoby, i gdy skromna bryczka zajechała na duży dziedziniec, pokry-

ty trawnikami i kwiatami, i stanęła przed wystawą pięknego dworu, Cesia prawie siły nie miała wysiąść.

Pierwszą osobą, którą tu spostrzegła, była wysoka, niemłoda, ubrana czysto kobieta, w czepku z zielonemi wstążkami i pękiem kluczy u pasa.

— Czy zastajemy panią Fiałkowską w domu? — spytała towarzyszka podróży Cesi.

— Nie, pani niéma i dopiero jutro pewno przyjedzie — odpowiedziała kobieta tonem, który zdradzał, że pragnęła odejść ztąd jaknajprędzej. — Kogoż mam oznajmić, gdy pani zapyta się, kto tu był?

— My przyjechałyśmy tu w interesie... — i tu towarzyszka Cesi opowiedziała powód, który je sprowadził.

Pani Janowa, tak się nazywała gospodyni, wysłuchiwała tego obojętnie, potem spojrziała raz i drugi na Cesię, w końcu rzekła:

— Doprawdy nie wiem, co zrobić; pani niéma w domu, a ja się w takich razach rozporządzać nie mogę... Czyby panie nie chciały jutro tu przyjechać?

Była to rzecz niemożliwa, towarzyszką Cesi miała zaraz udać się w dalszą drogę, prosiła więc gospodyni, żeby zaopiekowała się dziewczynką do jutra, a ta jakoś nie okazywała wcale ochoty tego uczynić.

— Ha, niech wreszcie panna zostanie — mruknęła niechętnie, aby tylko pan się nie gniewał.

Cesia ze łzami pożegnała swą towarzyszkę i cała zarumieniona pod wpływem doznanej przykrości, udała się za panią Janową, która tonem niecierpliwym wydała chłopcu kredensowemu rozkaz, żeby kuferek Cesi zaniósł do garderoby.

— Czy panienka tu na długo? — spytała gospodyni, gdy już były w pokoju.

— Sama nie wiem...

— A cóż tu panna będzie robiła?

— Nie wiem, doprawdy...

Gospodyni wzruszyła nieznacznie ramionami i rzekła:

— Zostawię tu pannę, bo ja mam dużo roboty, tak, że aż nie wiem, do czego się wziąć pierwěj. Jutro przyjedzie pani z gośćmi i muszę się bardzo śpieszyć.

To mówiąc, wyszła z pokoju, nie zapytawszy nawet Cesi, czy nie zechce spocząć, albo czém się posilić po długiej podróży. Było to bardzo przykre dla przybyłej, bo rzeczywiście czuła się zmęczona i głodna, ale powiedziała sobie, że zapewne poszłoby wszystko inaczej, gdyby sama pani była w domu.

Rozmyślając o tém, ani się spostrzegła, jak zasnęła, siedząc przy stole, opuściwszy głowę na

łokcie. Był już wieczór, gdy blask świecy i ruch w pokoju ją obudził.

Przed nią stała gospodyni, która kazała przynieść tu herbatę Cesi, a podczas gdy ta się posilała, weszła z nią powoli w rozmowę. Z tego, co pani Janowa mówiła, dziewczynka dowiedziała się, że pani Fiałkowska jest dobrą osobą, ale niczem się w domu nie zajmuje i własne nawet dzieci oddała pod wyłączną opiekę bony Francuzki, że jest bardzo słabowita i drażliwa, wszystko ją niecierpliwi i przyprawia o chorobę. W ten sposób dała gospodyni Cesi przestrożę, żeby z nią była bardzo delikatna, ostrożna i nie zajmowała jej sobą zbyt wiele.

(D. c. n.).

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Mój Eliaszu, weź tego malca na ręce, żeby ta dobra jego siostrzyczka sama mogła lepiej widzieć. A teraz chodźmy obejrzeć z bliska zwierzęta.

I przeszliśmy wszyscy wzdłuż klatek. Właściciel nas oprowadzał i opowiadał o swoich zwierzętach różne rzeczy tak dziwne, że dziedzic nieraz pokręcał głową z uśmiechem, a i ja nie bardzo temu dowierzałam. Już to, co do mnie, muszę wyznać, że mi żal było szczerze tych biednych uwieczonych zwierząt. Gdyby to odemnie zależało, byłabym je wszystkie odesłała do ojczyzny i wypuściła na swobodę, byle tylko siedziały sobie spokojnie w głębi lasów i nie czyniły krzywdy nikomu. Straszna to musi być męczarnia dla takiego stworzenia, nawykłego do ruchu i nieograniczonej wolności, siedzieć w tej ciasnej klatce. Gdyśmy już wszystko obejrżeli, rozpoczęła się druga część widowiska; właściciel menażeryi wchodził do klatek i różne sztuki wyprawiał z drapieżnymi zwierzętami. Wsiadał na lwy i tygrysy, kazał lampartom skakać przez kije, nakoniec włożył głowę w paszczę stariej, ślepej lwicy. Widok ten taką mi przykrość sprawił, że przyknełam oczy, a gdy je otworzyłam, człowiek ten stał już przed nami i ocierał pot, kroplami spływający mu z czoła.

— Nieprawdaż, panie — rzekł Eliasz półgłosem do dziedzica — że to się nie godzi narażać tak życia bez żadnego pożytku? to poniżenie prawdziwe.

— Masz słusność — odrzekł dziedzic — smutny to widok, bardzo smutny. Ale biedak potrzebuje żyć, a jeżeli inaczej zarobić nie umie...

Na zakończenie widowiska wyprowadzono na

środek sali wspaniałego słonia, który bardzo zręcznie chwycił pierniki i różne przysmaki długą swoją trąbą, ku wielkiej uciechu widzów. Potem właściciel menażeryi chodził naokoło, trzymając kapelusz w ręku. Dziedzic wrzucił tam pieniąż srebrny i rzekł z dobrocią:

— Wolałbym być jednak nie widzieć tych sztuk; czy nielepiejby było zaniechać tej gry niebezpiecznej? Kto może zaręczyć, czy drapieżna natura którego z tych zwierząt nie weźmie góry nad bojaźnią?

— Sam to wiem dobrze — odrzekł biedny człowiek z westchnieniem — ale mam żonę i dzieci...

Coraz więcej osób zbierało się w budzie i zaczęło się robić strasznie gorąco. Wszyscy rozmawiali i hałasowali, głosy małp, niedźwiedzi i tygrysów mieszały się z tym zgłębkiem, który mię już nużyć zaczynał. Eliasz postawił przy mnie Janka, i odszedł do swoich własnych dzieci; wzięłam braciszka za rękę i stanęłam przy drzwiach, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Obaczyliśmy tam dużą kufę z wodą, w której pływały foki. Biedne stworzenia! tak miłosiernie na mnie spoglądały łagodnymi swymi oczyma, które mają wyraz zupełnie do ludzkiego podobny. Patrząc na nie, łatwo zrozumieć, z kąd powstały baśnie o syrenach wodnych.

Pokazywałam Jankowi te osobliwe zwierzęta i tłumaczyłam mu, że zapewne żeglarze w czasach dawniejszych musieli widywać w nocy, przy świetle księżyca, gromadki fok igrające na falach i wzięli je za wodne kobiety, syreny. Ale braciszek mój z roztargnieniem słuchał tych objaśnień patrzył w inną stronę i rzekł wreszcie:

— Dobrze, dobrze; popatrzno lepiej, siostrzyczko, na tę panienkę, co tam stoi po drugiej stronie drzwi. Ona nas poznała, bo mi się ukłoniła i uśmiechnęła się do mnie. O tam, tam, ta panienka taka ładna, daleko ładniejsza od ciebie.

Podniosłam oczy, a żeby obaczyć tę panienkę „ładniejszą odemnie,“ nie czułam jednak najmniejszego żalu do Janka za tę uwagę, przekonałam się bowiem, że chłopczyna miał wrodzone poczucie piękna, trudno mu to było brać za złe.

— Ale gdzież ona jest, Janku?

— Tam, tam, ta panienka, co ma takie śliczne oczy błękitne, i długie, jasne warkocze. O, jaka szkoda, że ty nie jesteś taka ładna, Emilciu, tak bym ciebie kochał...

Malec plótł bez zastanowienia, zwyczajnie jak dziecko, nie pojmując, jak mogłam zważać na to, a jednak muszę wyznać, że doznałam nadzwyczaj przykrego uczucia i przez chwilę nie miałam nawet ochoty oczu podnieść na tę ładną panienkę. Przewyciężyłam się w końcu, spojrzalam... i po-

znałam ją odrazu, chociaż zmieniła się troszkę. Ona mnie także poznała, bo gdy się oczy nasze spotkały, przybiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję:

— O, Emileiu, jakże się cieszę, że cię widzę.

Była to moja starsza koleżanka z pensyi pani Dangerfield, półstypendystka, Jania Allarden.

IX.

Nowa towarzyszka.

Jania przyłączyła się do nas, gdyż znała bar-

pięro zachwycenie Janka otworzyło mi oczy. Jania była znacznie starsza odemnie, miała już teraz rok siednasty, od czasu, gdyśmy się widziały, nie urosła wprawdzie, ale nosiła teraz długą sukienkę, włosy odmiennie czesała i rzeczywiście wyglądała przesłicznie.

— Cóż ty porabiasz, Janiu? — zapytałam, siedząc obok niej przy wieczerzy — kiedy powracasz do pani Dangerfield?

— Ja już nie wrócę na pensyą — odrzekła



Bośniaczki (str. 742).

dzo dobrze rodzinę dziedzica, była nawet daleką krewną samej pani, która ją zaprosiła na wieczerzę. Po pierwszej chwili zdziwienia, przypominałam sobie, że matka Jani mieszkała w sąsiedztwie wuja Rubena, jak o tém na pensyi jeszcze wspominała. Dziwna rzecz, że nigdy dawniej nie zwróciłam uwagi na piękność skromnej półstypendystki, teraz do-

z uśmiechem — mieszkam teraz u rodziców, ale niezadługo rodzice wyjadą bardzo daleko, aż do Australii — a gdy to mówiła, twarzyczka jej przybrała wyraz smutku — trudno tu żyć w Anglii ubogim ludziom, a tam ziemia jest bardzo tania, za lat kilka mogą się dorobić majątku.

— I ty z nimi jedziesz? pytałam.

— Nie... zdaje mi się, że zostanę w kraju — mówiła Jania troszkę pomieszana, a żona dziedzica dokończyła wesołym tonem:

— Jania zostaje z nami, nie puścimy jój.

— O, nie, nie puścimy — powtórzył głos mężki.

Zapomniałam powiedzieć, że oprócz Jani przyłączył się do towarzystwa naszego młody jakiś pan, także dobry znajomy dziedzica.

Domyśliłam się odrazu wszystkiego. Jania była dorosłą panią i wychodziła za mąż. Gdyśmy po wieczery odeszły obie na stronę, opowiedziały mi, że ten pan, jój narzeczony, jest kapitanem okrętu handlowego, który przewozi towary z Anglii do Hiszpanii. Matka jego, staruszka, mieszkała także w tych stronach i była dawną przyjaciółką matki Jani. Dobra, kochana Jania! później dopiero zrozumiałam, że nie każda inna dorosła panią na jój miejscu chciałaby się tak poufalić z młodszą o lat trzy dziewczyną.

Od tej pory spotykałam często Janię, to w domu dziedzica, to na przechadźce. Teraz już nie trzymałam nigdy Janka w mieszkaniu i z radością spostrzegłam, że chłopczyna wyraźnie nabierał sił i zdrowia. Lubił szczególnie siedzieć na morskiem wybrzeżu, zbierać muszelki, budować mury i mosty z kamyków. Jania, dorosła Jania, nieraz mu w tém dopomagała. Powinnabym była jój być bardzo wdzięczną za to... ale postanowiłam w tym pamiętniku pisać całą prawdę, jakkolwiek może być upokarzającą dla mnie. Braciszek mój przywiązał się niezmiernie do Jani, wpatrywał się z wyrazem zachwycenia w jój śliczną twarzyczkę, lubił długie pukle jój włosów trzymać w swych paluszkach, przytulał się do niej z taką czułością, a mnie to drażniło i gniewało. Nie mogłam zapomnieć tych dziecinnych słów chłopczyka: „Jakbym ja ciebie kochał, gdybyś była taka ładna. Wiec on ją kochał, tę obcą, kochał ją więcęć odemnie!

Pojmujecie, że ukrywałam starannie w głębi duszy to nierozsądne uczucie, niemniej jednak dręczyłam się niem i cierpiałam bardzo. Nieraz jeszcze na pensyi, patrząc na panią ładniejszą odemnie, a takimi były prawie wszystkie, doznawałam podobnej zazdrości; tu jednak, w domu wuja Rubena, zapomniałam była o swojej brzydocie, bo nie miałam sposobności do porównań. Odkiedy spotkałam się z Janią, znów stawałam często przed zwierciadłem i bolesne myśli ścisnęły moje serce, boleśnieszę nawet, niż dawniej, bo zachowanie się braciszka dawało mi niejako przedsmak tego, czego w dalszém życiu spodziewać się mogłam. Brzydka jest nieszczęśliwa, powtarzałam

sobie z goryczą niewymowną, brzydkiej nikt nie kocha!

Czy tak jest rzeczywiście? Jeśli tu rozpisuję się o tém strapieniu swoim, które oddawna przemienęło, czynię to dla pożytku młodziutkich moich czytelniczek. Niesłusznie bowiem, podług mnie, weszło w zwyczaj powtarzać paniąkom, że piękność powierzchowna nie ma żadnego znaczenia, gdyż jest przemijająca. Nie myślę twierdzić, aby piękność większą miała wartość od przymiotów duszy, ale każdy przyznać mnsi, że jest szacownym bardzo darem Bożym. Dotkliwa to przykreść dla dorastającej dziewczyny, gdy nielitościwie zwierciadło powie jój, że jest brzydką, i niepodobna się temu dziwić. A jednak posłuchajcie mnie, wy wszystkie, którym los poskąpił wdzięków i wierście mojemu doświadczeniu. Nie smućcie się zbytecznie, bo ze wszystkiem oswoić się można, i wy też z czasem oswoicie się z tą myślą, że jesteście brzydsze od innych. Pamiętajcie także, iż Bóg w dobroci swojej pozwolił, aby dusza wyciskała piętno widoczne na twarzach naszych; same przekonacie się, jak często rysy szpetne rozjaśnione bywają wewnętrzną pięknnością duszy. Kobieta dobra, rozumna, wykształcona, nie może być wstrętną, a często bardzo dla przymiotów swoich bywa kochaną tkliwiej od pięknej przez tych, którzy ją blisko znają.

Ale w tych czasach, o których opowiadam, byłam jeszcze nierozsądną i niedoświadczoną, a gorzkie myśli o brzydocie mojej trapiły mnie często. Pewnego wieczora, przechadzając się na morskiem wybrzeżu, smutniej jeszcze niż zwykle zadumałam się nad tém. O kilka kroków odemnie braciszek mój wiódł spór bardzo ożywiony z Janią. Chodziło o to, czy śliczny budynek, który oboje wystawili z piasku i z muszelek, przetrwa przyplływ morza? Jania utrzymywała, że woda zniszczy go niezawodnie. Ponieważ przyplływ spodziewany był za pół godziny najdalej, więc kwestya miała być rozstrzygniętą niezadługo. Tak samo i ja frasowałam się o twarz swoją, a zapomniałam, że czas i piękną i brzydką zamieni zawsze w szczyptę prochu... Ale, jak to zwykle bywa, zaślepiona na własną niedorzeczność, szydziłam z innych i rzekłam, śmiejąc się:

— Jak też możesz, moja Janiu, rozprawiać o takich dzieciństwach?

— Jego to tak bawi — odrzekła towarzyszka Janka i dalej w najlepsze dopomagała malcowi w jego robocie.

Braciszek mój spojrział na mnie z brwią namarszczoną i przysunął się bliżej do Jani. Odeszłam dalej i usiadłam na dużym kamieniu. Czulałam, że tym obojgu bardzo dobrze bezemnie, nie

chciałam więc im przeszkadzać. Dziwne bo ze mnie było wówczas stworzenie. Niespokojna, kwaśna, niezadowolona, i z siebie, i z drugich, siedziałam tak zgięta w kabłąk, z rękami splecionymi na kolanach, wpatrzona w morze, rozjaśnione blaskami zachodzącego słońca, odurzona jednostajnym szumem fal, po głowie mi się snuły jakieś poplątane myśli; powtarzałam sobie, że świat jest bardzo smutny, a ja nie wiem już sama, co mam na nim czynić.

Przebudził mię z téj zadumy głos Jani, która się do mnie zbliżała, trzymając malca za rękę. Janek desperował, że przyływ zniszczył jego budynek, a ona go pocieszała i obiecywała zbudować mu nazajutrz inny, daleko ładniejszy jeszcze.

— Co, naprawdę? przyjdiesz tu jutro? O, jak to dobrze! A my, czy przyjdziemy, Emilciu?

Odpowiedziałam dość kwaśno, że jeszcze nie wiem.

— Nie dokuczaj siostrze — rzekła cichutko Jania — jutro jej poprosimy, a pewnie przyjdzie. Teraz chodźmy już, bo się spóźnimy, a pani Archer czeka nas dziś z herbatą.

Pani Archer była to matka młodego kapitana, narzeczonego Jani. Mieszkała ona sama jedna w małym domku, w sąsiedztwie wuja Rubena. Kiedyś tylko syn jej spędzał z nią kilka dni lub parę tygodni, gdy statek jego stał na kotwicy w pobliżu. Polubiliśmy bardzo panią Archer i wielka to była uciecha, i dla mnie, i dla Janka, gdy nas zaprosiła do siebie na herbatę.

Poszliśmy małą ścieżeczką wzdłuż wybrzeża. Chciałam wziąć Janka za rączkę, zapytałam nawet, czy nie chce, żebym go zniosła, bo on to lubił, chociaż teraz już nie był taki wątły i mizerny. Ale odwrócił się odemnie i szedł uczepiony do fartuszka Jani. Dosłyszałam, jak ona szepnęła mu, żeby był grzeczny i podał rączkę siostrzyczce, ale nie chciałam téj grzeczności braciszka z polecenia Jani, udałam, że nie słyszę i poszłam naprzód, zrywając kwiatki po drodze, bo zwróciliśmy się teraz w bok, a ścieżka przechodziła przez ładną kwiecistą dolinkę.

— Co robisz, Emilciu, spojrzysz na swoje ręce — zawołała nagle Jania. Ręce moje były całe we krwi. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zrywałam dzikie róże i cierniste łodygi ścisnęłam w palcach w jakimś nerwowém rozdrażnieniu.

— Moja Janiu — odrzekłam sucho — proszę ciebie, daj mi pokój. Idźcie sobie oboje naprzód, a mną się nie opiekujcie.

Usłuchali mnie i odeszli. Jakże żywo zachowałam w pamięci ten piękny, ciepły wieczór czerwcowy! Cudnie wyglądała cicha, samotna dolinka; tylko świegot ptasząt, gnieźdzących się po krzakach,

przerywał milczenie. A jakie śliczne były te krzaki róż dzikich, tworzące po obu stronach żywopłoty! Nigdy już w życiu późniejszym nie widziałam tak pięknych żywopłotów, takich różyczek świeżych. Gdzieś tam pośród niskich krzaków strzelały w górę wyniosłe młode dąbczaki, o liściach téj żywej barwy zielonéj, jakiej nie można napotkać nigdzie, tylko na liściach dębowych w Maju i w Czerwcu.

Patrząc na te wszystkie piękności przyrody, uczułam się spokojniejszą, gorycz ustępowała powoli z mego serca, pozostał tylko jakiś łagodny smutek, a i ten już rozplywać się zaczynał, gdy wchodziłam na próg mieszkania pani Archer; mogłam więc przyłączyć się do towarzystwa, nie zwracając na siebie uwagi niczyjéj.

Domek to był bardzo skromny, do wielu innych podobny, z cegieł zbudowany, z zielonemi drzwiami i małym ogródkiem. Nie było jednak w tym ogródku ani róż, ani jaśminów, tylko warzywa rozmaite i krzewy owocowe, agrest, porzeczki, maliny.

Zastałam Janka siedzącego przy stoliku; miał buzię umytą i włoski porządnie przczesane. Jak śmiała Jania brać się do tego, kiedy to do mnie należało! Pani Archer zajęta była przyrządzaniem herbaty. Miała na sobie czarną suknię wełnianą, biały kołnierzyk i czepeczek biały muślinowy z marszczoną szlarką tiulową. Gdym wspomniała coś o Londynie, powiedziała, że nigdy nie była w Londynie, ani w inném większém mieście, że tylko parę razy w życiu podróżowała i wówczas zwiedzała kraje bardzo dalekie.

— Jakie kraje? — zapytałam ciekawie.

— Byłam z nieboszczykiem moim mężem na Antyllach, w Kantonie, w Honduras. Raz znów płynęliśmy do Indyi, ale okręt się rozbił i schroniliśmy się na wyspie Ś-éj Heleny.

— Więc pani widziała wyspę Ś-éj Heleny? — zawołałam z żywością, a serce moje uderzyło gwałtownie — niech mi pani opowie co o niej.

Zaczęła opowiadać bardzo szczegółowo, a ja słuchałam z nadzwyczajném wzruszeniem, w końcu pani Archer zapytała, dla czego mnie wyspa Ś-éj Heleny tak obchodzi.

— Z powodu drogich wspomnień — rzekłam z cicha i zamilkłam, wstrzymując łzy, a Jania pochyliła się do ucha staruszki i coś jej szepnęła; ona wówczas spojrzała na mnie ze współczuciem, mówiąc półgłosem: „Biedne, biedne sieroty!” i zajęła się znowu herbatą.

Ja zaś przysunęłam się do Janka, bo owe *drogie wspomnienia* zwracały zawsze serce moje do niego. Wstałam od stołu, wzięłam go za rączkę i zaczęłam mu pokazywać różne przedmioty, sta-

rając się go zabawić. Podobał mu się niezmiernie rysunek w ramki oprawny i umieszczony nad kominkiem. Przedstawiał okręt z rozwiniętymi żaglami, z wielką dokładnością i ścisłością matematyczną wykonany. Można było poznać odrazu, że to jest wizerunek robiony z natury, a żeglarze, jak wiadomo, lubią mieć takie wizerunki swoich okrętów. U dołu był napis: „Latawiec, kapitan John Archer r. 1801“.

Domyśliłam się, że ten kapitan, to był mąż pani Archer i chciałam jęj to powiedzieć, ale gdy zwracałam się z uśmiechem do staruszki, która ustawiła na stole talerz z ciastkami i dzbanuszek ze śmietanką, Jania chwyciła mię za ramię i szepnęła:

— Nie mów nic, to takie bolesne dla niej wspomnienie. Mąż jęj w roku następnym odplynął tym statkiem do Kalkuty i zginął bez wieści.

Dreszcz zimny przeszedł mnie od stóp do głowy; straszna to rzecz, gdy ktoś ukochany *zginie bez wieści!* A od tego czasu upłynęło lat czterdzieści! Mój Boże, jakież to siły ducha potrzeba, aby znieść taką boleść i żyć potem jeszcze lat czterdzieści! A jednak takie nieszczęścia zdarzają się często na świecie, na tym świecie, na którym ja żyłam jeszcze tak niedługo. Czemże były drobne moje przykrości w obec takich przejść ciężkich, takich strat niepowetowanych! Ja także przebolelałam boleść podobną, i dziś nie wstydziałam się tęp martwić, że nie mieszkam w wykwintnym domu, że jestem brzydsza od Jani, że braciszek mój kocha tę ładną Janię więcej odemnie?

Uczułam, że to grzech brać do serca takie drobne przeciwności i postanowiłam przewyciężyć usposobienie do goryczy i żalu, które mię opanowało. Staralam się rozweselić i wieczór upłynął dość przyjemnie. Pani Archer była bardzo rozmowna, opowiadała nam różne drobne zdarzenia, jak naprzykład: że miała piękny czajnik porcelanowy i stłukła go przypadkiem, że przepis ciastek, które nam tak smakowały, dostała od sąsiadki, to znów skarżyła się, że osieł rzeźnika zakradł się do jęj ogrodu i wyjadł najpiękniejszą kapustę. Nie mogłam pojąć, jakim sposobem takie drobiazgi mogły zajmować osobę, która widziała Antyllę, Kanton, Honduras. Ale pani Archer zapomniała zupełnie o tych dalekich podróżach, myślała tylko o swoim gospodarstwie.

— Oj ten osieł! — mówiła staruszka cała zaperzona — wybrał największe głowy, a których nie zjadł, to przynajmniej ponadgryzał. Ale to mi przypomina przepyszną kapustę, którą się przysłużyłam synowi memu Jerzemu, gdy powrócił był z Buenos-Ayres. Opowiem ci to, panno Emilio, jeżeliś ciekawa.

(D. c. n.)

ROZWIĄZANIE ZAGADKI HISTORYCZNEJ.

ZAMIESZCZONEJ W N-rze 38 WIECZORÓW RODZINNYCH:
(nadesłane przez Maryą B. ze Słonimia i za najlepsze uznane przez redakcyę, która przysądziła za nie książkę pod tytułem: „Czary w krainie wiedzy“).

Stanisław Żółkiewski ur. 1547 r. poległ 1620.

Stanisław Żółkiewski, dzielny wojownik i uczony mąż stanu, urodził się na Rusi Czerwonęj we wsi Turynce, dziedzicznęj jego ojca, Stanisława herbu Lubicz, wojewody ruskiego. Wieś ta, zamieniona następnie na obronne miasto, przybrała miano Żółkwi i po śmierci założyciela przeszła w spadku na potomków jego po kądzieli: Daniłowiczów i Sobieskich.

Rok życia licząc zaledwie, Żółkiewski narażony był na straszne niebezpieczeństwo. Tatarzy wpadli do wioski jego ojca, podczas niebytności tegoż i zrabowawszy, spalili dwór i wioskę. Małego Stasia ocaliła jego mamka Marta, własne życie zaś poświęciwszy.

Od dziecięcia miał Żółkiewski jak najlepszy przykład. Ojciec jego wielce na wojnach się zasłużył i był w kraju bardzo poważany. Przymię spowinowacony z wielkim Zamoyskim, od niego przejął się duchem rycerskim. Obok wszystkich zalet umysłu i serca, młody Żółkiewski powierzchowność miał tak piękną, że na weselu Zamoyskiego z synowicą królewską Gryzeldą w r. 1583, przebrany był za boginią Dyanę. (Dawni Polacy mieli zwyczaj na wielkich uroczystościach urządzać tak zwane „maszkary“. Niewiasty polskie przez skromność nigdy nie należały do tych zabaw, więc boginie przedstawiała najpiękniejsza młodzież). W czasie tęp maszkary, Żółkiewski, jako bogini łowów, z łukiem i kołczanem, jechał na dwukolnym wozie, ciągnionym przez dwa jelenie, otoczony świetnym orszakiem myśliwych.

Wówczas wzbudził podziw tłumu swoją pięknością; lecz w 38 lat potem, już się ukazał Warszawie jako bohater, gdyż z pojmanymi jeńcami odbywał wjazd tryumfalny. O ileż ten pochód świetniejszym był od pierwszego! Zamoyski słusznie się o młodym Stanisławie wyrażał, iż to istny syn Marsa i Wenery. Ale wiedział Żółkiewski, że pięknemi oczyma chwały ojczyźnie nie przysporzy. Wrzała mu krew w żyłach, gdy nauki pod okiem Zamoyskiego skończywszy, miecz do boku przypasał. Jednak ta do boju pochopność nie przeszkadzała mu miłować naukę, a pamięć miał tak nadzwyczajną, że całego Horacyusza dosłownie umiał. Piórem tęp dobrze władał. Opisał wszystkie swoje wyprawy. Jeden list jego o wojnie tureckięj znajduje się w dziełach Łubińskiego, biskupa płockiego (fol. 185).

Te wszystkie przymioty otworzyły Żółkiewskiemu przystęp do zaufania królewskiego, którego dowód dał Batory, zwierając mu swoje zamysły co do wojny tureckiej.

Będąc wiernym przyjacielem Zamoyskiego, czynnie popierał po śmierci króla Stefana wybór Zygmunta III i w bitwie pod Bieczyną dowodził prawem skrzydłem wojska, a natarłszy dzielnie, spędził Maksymiliana z placu. W tej to potyczce raniony został w prawe kolano, od czego chromał przez całe życie. Zygmunt III w nagrodę za tę usługę nadał mu buławę polną litewską.

W roku 1596 hetman, posłany na Ukrainę, dla uśmierzenia buntu, który się wszczął między Kozakami pod wodzą Nalewajki, tak zręcznie obrót nieprzyjaciół nakierował, że ich wpędził w kotłinę, z której się wydostać nie mogąc, musieli się poddać. W roku 1600 nastąpiła wojna szwedzka. Podczas oblężenia Weissensteinu (Białego Kamienia) Zamoyski dowiedział się, że Reinhold Arnep, wódz szwedzki, ciągnie na odsiecz Rewłowi, oblężonemu przez Chodkiewicza. Nie chcąc odstępować od oblężenia, kanclerz wysłał Żółkiewskiego dla przecięcia drogi nieprzyjacielowi. Mimo pośpiechu, z jakim Żółkiewski w drogę się wybrał, zastał już wojsko szwedzkie uszykowane do boju. Polacy, nie wahając się ani chwili, rzucili się na silniejszych o wiele przeciwników i odnieśli zupełne zwycięstwo. Sam Arnep poległ w tej bitwie kopią przeszyty.

Jednak po tylu czynach bohaterskich, zamiast nagrody, przykrość spotkała hetmana. Zygmunt III, nie skory do ufności, rzucił na Żółkiewskiego podejrzenie, jakoby ten ostatni sprzyjał rokoszanom, chcącym go zrzucić z tronu. Powodem do tak krzywdzącego podejrzenia było to, że przywódcą buntowników był Zebrzydowski, krewny i przyjaciel Żółkiewskiego. Ale w bitwie pod Guzowem uwolnił się Żółkiewski z pod tego zarzutu, gdyż nie zważając na pokrewieństwo, dzielnie na rokoszan uderzył i pokonał ich zupełnie. Po tym zwycięstwie otrzymał hetman buławę wielką koronną po zmarłym Zamoyskim.

Wkrótce potem, w roku 1610, rozpoczęła się wojna ruska, a ta mogłaby była przynieść krajowi niezmiernie korzyści, gdyby nie upór Zygmunta, który odrzucał wszelkie rozumne rady, słuchając jedynie swęj dumy i poszeptów swych ulubieńców. I tak: Żółkiewski radził udać się odrazu w głąb kraju i zdobyć stolicę; Zygmunt oparł się temu i zabawiał się oblężeniem Smoleńska. Tymczasem nieprzyjaciel, wspomagany przez zaciężne oddziały Szwedów, Francuzów i Anglików, ogromnym zastępem wyruszył przeciw Polakom. Wtedy Zygmunt wezwał Żółkiewskiego, by

przeciął mu drogę. Hetman, zapominając o poprzednich urazach, natychmiast wyruszył z małą garstką rycerstwa i kilku lekkimi działami. Chcąc przeciąć komunikacją między wodzami nieprzyjacielskimi, jednego z nich obległ w Carowem Zajmiszczu i zostawiwszy tam część swego osmiotysięcznego wojska, z drugą większą udał się na spotkanie drugiego, który z 48 tysięczną armią ciągnął na odsiecz. Po całonocnym pochodzie stanął Żółkiewski pod Kłuszynem o świcie dnia 4 Lipca 1610 r. *). Cały obóz nieprzyjacielski zagrożony był w śnie głębokim. Zbudził go pożar wiosek zapalonych przez Żółkiewskiego i za chwilę zawrzała bój krwawy. Wódz stał na wzgórkach z rękami w górę wzniesionymi i wydając rozkazy, modlił się za pomyślność sprawy. Długo szala zwycięstwa nie przeważała się na żadną stronę, dopiero gdy wszystkie hufce polskie cwałem się puściły, mieszać się i łamać zaczęły nieprzyjacielskie szyki, które wkrótce poszły w rozsypkę. Szwedzi w ostatniej chwili poddali się Żółkiewskiemu. Hetman, zabrawszy w zdobyczy 24 działa i całą piechotę cudzoziemską, powrócił nazajutrz pod Carowe Zajmiszczce, które mu się poddało bez oporu. Za przykładem tym poszły inne obronne stanowiska tak, że Żółkiewski, zajmując po drodze wiele miast, zdążył ku Moskwie, pod murami której stanął dnia 3 Października i rozpoczął układy. We wspaniałym namiocie, rozbitym po za murami miasta, dostojnicy moskiewscy świeccy i duchowni złożyli dnia 24 Sierpnia dyplom na carstwo i przysięgę wierności na królewicza Władysława, przyczem też zaprzysięgli wieczną przyjaźń i przymierze z Polską. Jednak, im świetniejszą była sława Żółkiewskiego, tém więcej wzniecała przeciw niemu zawiści. Gdy więc hetman wysłał poselstwo dla sprowadzenia Władysława do Moskwy, Zygmunt, z namowy swego ulubieńca Jakóba Potockiego, wojewody braclawskiego, nie puścił królewicza, tylko wysłał do Żółkiewskiego tajemne zlecenie, aby się ten ostatni dla niego samego starał o koronę. Żółkiewski, widząc zgwałcone przez króla słowo dane przez siebie, tak się tém zniechęcił, że pod pozorem, iż jedzie po Władysława, opuścił stolicę, zdawszy dowództwo Aleksandrowi Gosiewskiemu, i wraz z pojmanymi jeńcami udał się do Warszawy. Wjazd jego był, jak pisze Niemcewicz: „widowiskiem dotąd tylko Grekom i Rzymianom znaném“. Na wspaniałym wozie, mając przy sobie dostojnych jeńców, wjeżdżał Żółkiewski do miasta.

*) Taka jest powszechnie przyjęta data, chociaż pod obrazem, przedstawiającym bitwę Kłuszyńską w kościele w Żółkwi, napis głosi, że się odbyła w roku 1613 dnia 4-go Lipca.

Jednak tryumf ten, jakkolwiek świetny, nie przyniósł krajowi spodziewanych korzyści, co tém boleśniejszém musiało być dla sędziwego wodza. Po odjeździe Żółkiewskiego z Moskwy, bojarowie moskiewscy, daremnie wyczekując przybycia Władysława, a przytém dowiedziawszy się o zamiarach Zygmunta, co do zagarnięcia dla siebie carskiej korony, podnieśli powstanie i wyparli z Moskwy wojsko polskie, które napróżno przez posłów dopominając się na sejmach żółdu, burzyć się i zawiązywać konfederacją poczęło; coraz nowe klęski spadały na rozsiane po różnych miejscach Rosyi oddziały polskie, a w Moskwie, gdy się nie doczekano królewicza, zasiadł na tronie Michał Romanow.

Zygmunt parę razy próbował jeszcze odzyskać to, co tylko przez własny upór utracił i w tym celu sam w pole wyciągnął. ale gdy go część wojska opuściła, powrócił z niczém z pod murów Moskwy. W roku 1617 znowu wyprawił na nią Władysława. W obu tych wyprawach brał udział Chodkiewicz. Ale gdy z powodu jednoczesnej wojny z Turcyą i Szwecyą zaczęło brakować środków, a car Michał szczerze się starał o zgodę, rzekł się Władysław carskiej korony i zawarł 14-letnie zawieszenie broni dnia 11 Grudnia 1618 r. w Dywilinie, mocą którego pozostały przy Polsce trzy ziemie: siewierska, czernihowska i smoleńska.

Wszystkie te wypadki tak zniechęciły sędziwego hetmana do prowadzonej wojny, że już do niej więcej należeć nie chciał. W innej jednak potrzebie nigdy nie odmawiał swęj usługi krajowi. Gdy Turcy w 80,000 wkroczyli do Polski, Zygmunt Żółkiewskiego posłał dla ich odegnania od naszych granic. Była to właśnie chwila, gdy Władysław ciągnął ku Moskwie, a Szwedzi najechali Inflanty. Hetman udał się za Dniestr i stanął pod miasteczkiem Buszą, ale widząc niepodobieństwo zwalczania ogromnych sił nieprzyjaciela, a może też dla tajemnych króla rozkazów, by nie rozpoczynał nowej wojny, zanim tamte się nie skończą, Żółkiewski podpisał traktat, na mocy którego Polska miała się zrzec praw do Wołoszczyzny i zachować neutralność względem Mołdawii i Siedmiogrodu. Traktat ten wyrzucali Żółkiewskiemu jego nieprzyjaciele na sejmie w roku 1618, ale król, nagradzając jego trudy, oddał mu wielką pieczęć koronną.

Wkrótce jednak Turcy pokój zerwali, a gospodar wołoski Gaspar Gracyan, za sprzyjanie Polakom na śmierć przez Turków skazany, oręż przeciw Porcie podniósł i Polaków prosił o pomoc, obiecując liczne posiłki. Król znowu wysłał Żółkiewskiego na czele 8,000 wojska. Przeczuwał wtedy wódz sędziwy smutny swój koniec, jak to

widać z jego listu do króla, pisanego przed tą nieszczęsną wyprawą. „Bogu tylko wiadomo“; pisał do króla, „jaki będzie koniec mojęj wyprawy; w najgorszym razie, polegnę za świętą wiarę, za króla i za ojczyznę. Ucieszą się nienawistni, żyłem już bardzo długo, a widziałem swary i niezgody, wojny bez potrzeby wzniecane i prowadzone niedołężnie, marnowanie krwi i męztwa rycerskiego, dumę i chciwość; zuchwalstwo, dające w pogardę prawo, znieważony majestat, i wolność samą znieważoną”...

Gdy przeszedł hetman granicę, Gracyan, zamiast obiecanych posiłków, przywiódł tylko 800 koni. Dnia 16 Września 1620 roku, ogromne wojsko Turków i Tatarów, do 100,000 wynoszące, ukazało się pod Cecora, gdzie Żółkiewski obóz rozłożył. Turcy otoczyli rycerstwo polskie, które z nieustraszoném męztwem odpierało ich napady. Na drugi dzień Turcy zachowali się spokojnie. Korzystając z tego, hetman wezwał do siebie starszyzną i tam jęj oznajmił, że nazajutrz zamierza bój z nieprzyjacielem stoczyć, a jeśliby nie był pomyslnym, wtedy, otoczywszy się taborem, w porządku do granic polskich cofać się będą. Słyszając to, porwali się z dawna już niechętni dla hetmana: Odrzywolski, Kalinowski, Chmielecki, Mikołaj Struś, Samuel Korecki i Gracyan i wręcz oświadczyli wszyscy, iż nigdy na taki układ nie przystaną, wyszli z namiotu i nim dzień zaświtał, z częścią rycerstwa opuścili oboz, rozpuszczając pogłoskę, że hetman sam myśli ratować się ucieczką. Żółkiewski kazał się oprowadzać po całym obozie z pochodniami, aby go wszyscy widzieli i przysięgł publicznie, iż za nic wojska nie opuści. Tych, co pierwsi uciekli, same nieba srodze za nieposłuszeństwo ukarały. Gracyan został przez Tatarów zabity, Kalinowski utonął w Prucie, a inni też śmierć ponieśli lub w niewolę pobrani zostali. Samuel, książę Korecki, szczęśliwie się z fal Prutu wydobywszy, wrócił do obozu i cały zmoczony stanął przed Żółkiewskim i zaczął mu gwałtownie wyrzucać, iż on to był przyczyną trwogi i zamieszania. Na to odrzekł spokojnie hetman: „Ja tu stoję, a przecież ze mnie woda nie ciecze“.

Ponieważ siły, jakimi Żółkiewski rozrządzał, znacznie były przez poprzednie wypadki uszczuplone, nie można już było myśleć o boju. To też wódz chciał tylko doprowadzić w całości pozostałą garstkę swego rycerstwa do granic Polski. Utworzywszy podłużny tabor z wozów, w środku którego umieścił chorych i obozowe zapasy, i w koło otoczywszy go piechotą, odpierającą napady Turków, cofało się w porządku wojsko polskie od 30 Września do 6 Października. Ale w nocy z dnia 6 na 7 Października, zrobił się straszny

zamęt: ciury poczęły rabować wozy, a gdy wodzowie (może niewczesnie) pogrozili im, że skoro przez Dniestr przejdą, nie minie ich surowa kara, przestraszeni służalcy, podpaliwszy namioty i zabrawszy co się dało z kosztowności, uciekać na wszystkie strony poczęły, rozrywając ogniwa taboru. Turcy, spostrzegłszy to zamieszanie, całą siłą na Polaków się rzucili. Sędziwy bohater, widząc, że wszystko stracone, wziął rozgrzeszenie od stojącego przy nim spowiednika, uściśnął syna i przebrawszy się w odzież prostego żołnierza, poszedł na bój ostatni. Podawano mu konia, zaklinając aby się ratował, ale Żółkiewski krzyknawszy: „Tam miejsce wodza, gdzie wojsko umiera!” zastrzelił konia... Długo walczył mężnie, mnóstwo nieprzyjaciół zabił, zanim sam życie postradał. Syn jego i zięć Koniecpolski dostali się w jasyr, a jego samego głowę uciętą Turcy na murach seraju zatknęli i dopiero drogo okupem opłaconą, wraz z ciałem, w grobie rodzinnym w Żółkwi złożono. Syn zaś jego, wykupiony z niewoli, wkrótce z ran w Cecorskiej bitwie odniesionych umarł. Żółkiewski miał za żonę Reginę Herburtównę, córkę sławnego podówczas prawnika Jakóba, którą słusznie do rzędu najświetniejszych niewiast polskich zaliczają. Ciągłe jęj strapienia i niepokoje najstraszniejsze, gdy mąż jako hetman bezustannie był narażony na utratę życia, udręczenia znoszone z największą cierpliwością i uległością, otaczają ją aureolą świętości. Podczas niebytności męża; pociechę jedyną znajdowała w modlitwie i wspieraniu nieszczęśliwych. Całe życie cierpiała i bardzo rzadko doznawała pociechy, gdy hetman strudzony powracał na krótki spoczynek. Te słodkie chwile w jęj życiu zarówno dla obojga rozkosznymi były, gdyż nigdy ich domowego szczęścia nie zaćmiła żadna chmurka. Żółkiewska przeżyła męża i syna i zgasła, licząc lat 60.

Na zakończenie przytoczymy tu urywek z testamentu Żółkiewskiego, najlepsze mogący dać pojęcie o cnotach jego obywatelskich. Píše on w nim tak o sobie: „Rzeczypospolitęj i królom, panom moim, których panowania zasięgiły dostalsze lata moje, zachowałem całą stateczną wiarę”... Zwracając się do syna swego powiada dalej: „Nie daj się żadnym skazom ani żadnym wymysłowym perswazyom uwodzić od tego, co będziesz rozumiał być z dobrem Rzeczypospolitęj. Pożytków żadnych nie szukaj z tęg miary, ani o nich myśl; za wieku mego dom rakuski osobliwie zażywał tych przekupieństw; najdziesz i w szkatule mojęj listy z ich obietnicami, alem ja tego do umysłu swego nie przypuszczał”... Nakoniec rozporządza: „Co się tycze pogrzebu ciała mego, przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich bez pogrzebu zo-

stają... Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej, dla wiary św., dla ojczyzny, ale nie wiem, jeśli tęg łaski od Pana Boga godzien. Jakożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak, jeśli bym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaćzy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitęj. A to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla Ojczyzny”.

W jednym z późniejszych testamentów, uzupełniając dawniejsze swe rozporządzenie, písze Żółkiewski: „A jeśli by w Wołoszech, albo gdzie za granicą Ojczyzny śmierć mi Pan Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tęg miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla ambicyi jakieg tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wiek potomny, szanując pamięć moję, wzbudzał się do nowych prac i zasług.

(Wyborne rozwiązania, zasługujące na odznaczenie, nadesłali oprócz tego: Józio J. z Niszowiec. — Melania B. z Łychowa. — Zofia K. z Pachnowoli. — Zosia i Jadwisia Kr. — Paweł P. z Kurozwęk. — Julia K. — Marynia de L. z Nowogrodu wołyńskiego. — Marya K. z Warszawy. Jadwiga z Lecieszyna).

SZARADA (Rózia D.).

Pierwszy wre, kipi, drugi milczeć każe,
Trzeciego z czwartém każde dziewczę pragnie,
Dla niego chętnie młodą główkę nagnie;
W nim pannę młodą stawia przed ołtarze.
Całość — przesliczna z twarzy i postawy,
Miła, dowcipna, jest rodem z Warszawy.

HOMONIMY.

a — e — k — m — l — r —

Z tych sześciu liter, powtarzając je dowolnie, ułożyć pięć homonimów.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 45-go.

ŁamigłóWKi odwrotnęj:

A R A S
R A K I
A K R A
S A I S

Lamigłównki liczbowej:

Słowacki.
Słowik
Wosk
Wał
Kos
Sok
Cło
Wołki
Sowa.

Odpowiedzi od Redakcyi

Adasiowi Cz. Liścik, starannie i ładną kaligrafią napisany, uradował szczególnie Kazia; tryumf to wielki dla niego, że kochani kóledzy upominają się o jego listy i czytają je z większą przyjemnością, aniżeli wieści z obcego świata. My znów radzi jesteśmy bardzo, że opowiadanie o „Królu bohaterze“ zajmuje czytelników. Odtąd stale drukować będziemy podobne poważniejsze opowiadania, oprócz powieści historycznych. O wyprawie naszego podróżnika Rogozińskiego podawać będziemy wiadomości, jakie tylko do dzienników tutejszych nadejdą. Nie pojmujemy tylko, dla czego korespondent ubolewa nad tem, że nie zamieszczamy powieści naśladowanych z angielskiego, skoro jeszcze w N-rze 41 rozpoczęliśmy długą powieść Miss Müllock autorki „Bohatera“ drukowanego dawniej, pod tytułem: „Pamiętnik młodej dziewczyny“. Mamy też przygotowaną na rok przyszły śliczną powiastkę Ouidy, pod tyt: „Wierny pies“. Zagadki obie wyborne i będą drukowane, dziękujemy serdecznie za to, że tak czytelnie i ładnie są napisane, oszczędza to nam trudu przepisywania. Radziibyśmy jednak wiedzieć, jakiego autora jest wierszyk w zadaniu konikowém? nie możemy sobie tego przypomnieć.

Antosi L. w Wilnie. Komedijek mamy aż trzy w pogotowiu i jedynie dla braku miejsca nie mogliśmy ich jeszcze wydrukować, ale w tym roku niezawodnie będzie choć jedna zamieszczona. Przy końcu roku nabrało się mnóstwo pilniejszych rzeczy, bo chcemy koniecznie pokonać wszystkie rozpoczęte powieści i opowiadania. To też tak się jakoś ciasno zrobiło w „Wieczorach“ z tego powodu, że nawet pogadanki naukowej nie możemy wcisnąć, a chociaż młodzi czy-

telnicy pewnie się o to nie gniewają, rodzice i nauczyciele mogą nam to wziąć za złe. Ale niema co, musimy radzi nie radzi stosować się do miejsca.

Panu D. St. P. w Ekaterynostawiu. Za kolendę składamy podziękowanie, wyborna będzie do naszego Pisma; ale czemu to miłe korespondentki nasze dawniejsze teraz ani słówkiem się do nas nie odzywają?

Jadwisi D. w Zajączkowicach. W tym N-rze Pisma jest właśnie rozwiązanie zagadki, z którego najlepiej wszyscy kochani czytelnicy dowiedzieć się mogą, za jakie rozwiązanie nagrodę otrzymać można.

OD REDAKCYI.

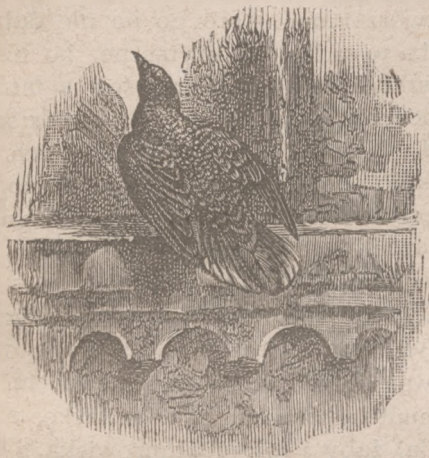
Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod tym samym kierunkiem i na dotychczasowych warunkach. Przygotowaliśmy dla czytelników naszych między innymi następujące utwory: Michaliny Zielińskiej (M—a) **Duch Zamczyska**, powieść z czasów dawniejszych — **Gawędy podsłuchane u niemnowej fali**. — **Skarbiec pamiętek ojczystych**, zbiór podań i legend dawnych. **Teresy Jadwigi Papi: Pamiętne Chwile**. — **M. J. Zaleskiej: Tajemnica Rodzinna**, powieść z gór karpackich — **Dwie siostry**, opowiadanie z dziejów wynalazków — **Różnych autorów: Obrazki z dziejów starożytnych — Księga pamiętnych czynów**, przykłady z życia ludzi zasłużonych, z dawniejszych i nowszych czasów czerpane. — **Nowy szereg pogadank o literaturze i znakomitych pisarzach polskich**.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wprost pod adresem redakcyi:

Mazowiecka Nr. 8.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



GOŁĄBEK.

Gołabczek srebrno-pióry,
Za wysoko lecąc w chmury,
Zwichnął skrzydło w locie;
Spadłszy, czepia się okienka,
Gdzie mamusia i panienka
Siedzą przy robocie.

Dano wody, dano grochu,
A gdy spoczął już potrochu,
Wypuszczono w chmury:
Serca dane są dziateczkom,
By pomogły gołabczkom
Wzlatywać do góry.

M...a.

Podróżny i błędny ogień.

(z czeskiego).

Pewien wieśniak, powracając do domu w noc ciemną, zabłądził, i nie wiedząc w którą stronę, począł gorzko wyrzekać na swą nierozwagę, gdy nagle ujrzał w pobliżu światełko, skaczące z miejsca na miejsce, które zawołało cieniutkim głosem:

— Nie trap się, przyjacielu! Jestem tu na twoje usługi, idź tylko w ślad za mną, a wyprowadzę cię na dobrą drogę!

Podróżny zastanowił się chwilę, jak to ka-

zdy zwykł czynić, gdy ma coś ważniejszego przedsięwziąć i potem dopiero odrzekł:

— To, co mi obiecujesz, jest bardzo pojętne, ale wierzyć ci nie mogę, bo widzę, że jesteś błędnym ognikiem. Gdybym cię posłuchał, zginąłbym niebawem w moczarach, ponad którymi się wznosisz, wolę więc czekać zorzy porannej, aby drogę moją rozjaśniła.

Jak wyrzekł, tak uczynił, siadł na kamieniu przydrożnym i czekał, a gdy pierwsze brzaśki jutrenki zabłysły na niebie, przekonał się, że uczynił dobrze, bo idąc za błędnym ognikiem byłby utonął w strasznych bagnach, które się ciągnęły opodal, światło zaś prawdziwe wyprowadziło go na dobrą drogę, i szczęśliwie do domu powrócił.

ŚLIZGAWKA.

Leoś i Stefuś bardzo lubili się ślizgać. Raz w mroźny poranek prosili Ojca, żeby im pozwolił iść do Saskiego Ogrodu, bo tam na stawie najwyborniejsza ślizgawka.

— Broń Boże — rzekł Ojciec — ja dziś nie mam czasu pójść z wami, a sami bez dozoru moglibyście się na jakie nieszczęście narażić. Jutro niedziela, jak będziecie grzeczni i posłuszni, dobrze się nauczycie lekcyj, poprowadzę was sam do Saskiego ogrodu.

Zasmucili się trochę chłopczyki, ale że byli nawykli do posłuszeństwa, więc nic nie odpowiedzieli, tylko poszli na podwórko, a tam w jednym miejscu woda z beczki rozlana zamarzała była w nocy, i mieli malutką ślizgawkę.

Przechodził właśnie tamtędy sąsiad ich, Tosio, mało co od nich starszy i zaczął się śmiać na cały głos.

— Ha ha! — mówił — cóż wy za malcy niezdarzy jesteście, żeby się tak ślizgać na odrobinie wody rozlanej na podwórku! Nie wiele od was starszy jestem, a warto widzieć, jak się będę ślizgał zaraz na stawie wielkim

w Saskim ogrodzie, ho ho! — i poszedł Tosio na staw.

Stefusiowi wstyd się zrobiło ślizgania na podwórzu i stracił do niego ze wszystkiém ochotę. Leoś także spuścił główkę, i jemu zbrzydła ślizgawka na podwórku. I poszli chłopczyki jak powarzeni do pokoju, myśląc sobie, że są bardzo nieszczęśliwi, usiedli w oknie, patrząc smutno na ulicę.

Nie wyszło ani pół godziny, a już ujrzeli dorożkę, a w niej kilkoro ludzi, którzy trzymali na rękach rozbitego Tosia... Malec bez nikogo starszego wlaź na wielki staw w Saskim ogrodzie, przewrócił się, kilku uczniów upadło na niego, lód się zaczął łamać, i z trudem wielkim dopiero udało się obcym ludziom wyciągnąć potłuczonego i zamaczanego Tosia z pomiędzy innych ślizgających się, i odwieźć do domu...

— Wiesz co, Leosiu — rzekł tegoż dnia wieczorem Stefuś do brata — to dziwna rzecz, że ile tylko zapamiętam jakieś ważniejsze podobne zdarzenie, to zawsze w końcu pokazuje się, że Ojciec ma słuszość, kiedy nam czego zabrania, chociaż to się tak z początku nie zdaje.

— Otóż to ja właśnie to samo myślałem sobie w tej chwili — odpowiedział Leoś bardzo zdziwiony, że brat tak trafnie odgadł jego myśli.

ODWET.

Raz Ojciec słyszał, jak Janek do siostry Mówił złośliwie i w sposób zbyt ostry; Rzeczę więc: — Janku! na cóż takie słowa, Dla czego taka złośliwa twa mowa? O! to nieładnie!

— Ach, Ojcz! ja tylko Odwet jój daję, bo właśnie przed chwilką Bardzo niegrzecznie do mnie przemówiła. — Być może, iż to niebacznie zrobiła, A choć nie mogę pochwalić jój czynu, Jednak ty robisz wiele gorzej, synu, Gdyż ty z rozmysłem pragniesz widać tego, By jój dokuczyć. Ach! niema brzydszego Uczucia w sercu, nad zemsty pragnienie; Pamiętaj o tém! niech to napomnienie Będzie ostatniem, synu mój jedyny! Wtedy Bóg tylko nam daruje winy., Gdy winowajcom i my odpuszczamy, Wszak to w pacierzu codzień powtarzamy!

Helena Bojarska.

PRZECHADZKA.

Pewnego dnia wesołe grono dzieciaków poszło z rodzicami na przechadzkę do lasku na grzyby. Po drodze, zamiast grzybów, spotykały żabki, to znów mrówiska; rozrzucaly mrówiska, a żabki bez litości zabijały, nie zważając na przestrogi rodziców, tłómaczących, że nie mają prawa odbierania życia tym biednym stworzeniom, skoro go im nie dały, że zwierzątka te są bardzo użyteczne, bo niszczą owady, szkodliwe dla roślinności; a mrówek praca porządna służyć powinna ludziom za przykład. Nie słuchały dzieci starszych, psuły wszystko po drodze, i tak przebiegając dużą przestrzeń lasu, nadeszły nad bagnisko, przy którym spostrzegły kwiat ładny, pod krzakiem młodej olszyny rosnący.

Zygmuntek, jako dowódzca zabaw, pierwszy się zbliżył, żeby kwiat zerwać. Wtém wysunął się wąż ogromny, spłoszony ruchem dzieci. Zygmuntek, pomimo, że miał laskę, pierwszy zabijał żaby i rozrzucal mrówiska, z krzykiem zaczął uciekać. Zobaczywszy to matka, zawołała:

— Cóż to, zuchu, uciekasz teraz? czemuż nie rozpoczniesz walki? Dotąd wojowałeś z żabami, nic złego nie czyniącemi... Nie nawykaj gnębić słabszych, a przed siłą uciekać, bo podobnie z ludźmi będziesz postępował, szanując tych, którzy cbawę w tobie wzbudzić potrafią, a gnębiąc biedaków, jeśli władzę nad nimi mieć będziesz. Przytém pamiętaj, że wszystkie stworzenia słabsze od nas, jak zwierzęta, ptaki a nawet owady, Bóg polecił pieczy naszój, nie powinniśmy więc ich męczyć i dla zabawy życia im odbierać. Dobrze dzieci nie czynią krzywdy nikomu.

Zygmuntek pamiętał przestrogi matki i nigdy odtąd nie był okrutnym dla słabszych stworzeń.

C. Falkowska.

LISZKA I CHRABĄSZCZ.

I.

Ranek piękny, pogodny, jasne słońce wiosenne zabłysło na błękitnym niebie. Zielone listeczki na drzewach wyglądają tak świeżo, muszą być bardzo smaczne! Tak sobie myśli mała liszka, i wlaży na pień dużego dębu. Śpieszy na śniadanie, bo jój głód bardzo dokucza.

Wczoraj wieczorem usnęła na liściu dębowym, ale w nocy silny wiatr się zerwał, zatrzęsł liśćmi gwałtownie, i liszka spadła na trawkę. Teraz musi się znów wygramolić na drzewo, a to prawdziwa podróż dla niej.

Biedna liszka zmęczona, zdyszana, zatrzymuje się kiedyniekiedy i odpoczywa. Podnosi główkę, ogląda się na prawo, na lewo, i znów dalej dąży. Patrzy na śliczne zielone listeczki i ślinkę łyka, pośpiesza, jak może. Już wreszcie ma tuż przed sobą smakowity listeczek, cóż to za rozkosz najeść się do syta po takiej uciążliwej podróży! Dawno już nasza liszka nie miała tak wybornego apetytu. Ale cóż ję się stało? cofa się nagle przerażona, bo spostrzegła, że tam już ktoś inny usadowił się na tym ładnym zielonym listeczku. A kto? zgadujcie. Oto chrabąszcz! Zbudził się nagle ze snu, gdy liszka poruszyła listeczkiem i oczy sobie przeciera z kwaśną bardzo miną.

— Kto mnie przebudził tak rano? — pyta chrabąszcz, i wnet spostrzega małą liszkę, groźnie się w nią wpatruje:

— Cóż to za dokuczliwe stworzenie! — powiada — nikogo nie uszanuje, na nic nie zważa. Nie wyspałem się i zły jestem teraz na cały dzień.

— Bardzo mi przykro, że panu sen przerwałam — rzekła liszka pokornie — gdybym była wcześniej pana spostrzegła, nie weszłabym pewnie na ten listek.

— Spodziewam się — mruknął chrabąszcz, potrząsając głową wyniośle.

— Ale bo też pan dziwny ma zwyczaj — mówiła liszka, troszkę już ośmielona, — żeby się kłaść spać o tej porze, kiedy wszyscy wstają.

— To prawda — odparł chrabąszcz, i odsunął się trochę w tył, bo promień słońca przedarł się przez liście i zajrzał mu w oczy — ale cóż, kiedy my mamy wzrok nadzwyczajnie wrażliwy na światło; dla tego też tylko po zachodzie słońca fruujemy, a w dzień chowamy się wśród liści.

Chrabąszcz ułagodził się zupełnie i liszka coraz była śmielsza, przyglądając mu się ciekawie i rzekła:

— Jak to musi być przyjemnie mieć sześć długich, silnych łapek i takie pyszne skrzydełka! Pan zapewne często podróżuje w dalekie strony i nie męczy się nigdy. Ale proszę mi powiedzieć, jakim to sposobem się frują temi skrzydłami?

— Nic łatwiejszego — odrzekł uprzejmie chrabąszcz — podnoszę najpierw te twarde, brunatne skrzydła, wydobywam z podspodu

długie, prawdziwe, które tam są ukryte, jakby w pokrowcu.

Mówiąc to, rozwinął skrzydła i podleciał w powietrzu, a liszka patrzyła na niego w zachwyceniu. Po chwili chrabąszcz powrócił.

— Nie martw się, moja panienko — rzekł do liszki — że nie umiesz fruwać; ja także nie zawsze miałem te wygodne skrzydełka, któż wie, może i tobie kiedy urosną podobne.

— Co, naprawdę? — zawołała liszka z żywością — nigdy nie myślałam, żeby skrzydełka mogły tak wyrość komu ni ztąd ni z owąd. Ale proszę mi opowiedzieć, jak to było.

— Długa to historia — rzekł chrabąszcz — teraz mi się spać chce i nie mam ochoty do rozmowy; ale wróć tu, moja panienko, wieczorem, jak sobie wypocznę, to ci wszystko ze szczegółami opowiem.

— Bardzo dziękuję — rzekła liszka — i nie przeszkadzam.

Mówiąc to, popełzła na inny listeczek, ale nie oddalała się od gałęzi, na której spał chrabąszcz, a jak tylko słońce zaszło, zbliżyła się do niego.

— No, patrzcie państwo — rzekł chrabąszcz, gdy przebudziwszy się, ujrzał ją przy sobie — co to za ciekawska z tej małej liszki. Pewny jestem, żeś musiałaś cały dzień myśleć o tym, co ci powiedziałem.

— A tak, naprawdę — odrzekła liszka — siedziałam tu cały dzień w pobliżu, bo obawiałam się, abys pan nie odleciał, jak się ściemni.

— Bądź spokojna — mówił chrabąszcz — ja mam dobrą pamięć i zawsze dotrzymuję przyrzeczenia. A potem, wyznaję szczerze, żeś mi się podobała i chcę ci przyjemność zrobić. Posłuchaj więc moich dziejów. Powiem ci najpierw, że nie znałem wcale mojej matki.

— To tak, jak i ja — przerwała liszka.

— Ale jeden robak ziemny, mój znajomy, opowiadał mi o niej; utrzymywał, że jestem zupełnie podobny do mojej mateczki. Biedaczka dawno już nie żyje; robak mówił, że na dwa dni przed zgonem złożyła w ziemi jajeczka. Dziwna rzecz! powiadają, że wszystkie matki chrabąszczów giną tak samo, nim z jajek wyklują się dzieci, i te są zawsze sierotami od samego urodzenia.

— Ja myślę, że i z liszkami dzieje się toż samo, bo żadna z moich znajomych nie znała swojej mateczki — rzekła mała liszka z westchnieniem.

— Otóż nakoniec — mówił dalej chrabąszcz — wydobyłem się z jednego z tych jajek, a była nas spora gromadka, ze dwunastu braciszków i tyleż siostrzyczek. Wyglądaliśmy zupełnie inaczej, niż dzisiaj, i ja, i moje rodzeństwo. Każde z nas było malutkim robaczkiem białym, a wszyscy mieliśmy ogromny apetyt i pożeraliśmy żarłocznie korzonki wszelkich roślin, jakieśmy w ziemi napotkali. Wkrótce zabrakło nam pokarmu i musieliśmy się rozejść każde w swoją stronę, szukając nowych zapasów żywności.

Dzięki Bogu, nigdy nie zaznałem głodu, nie brakło mi wybornych korzonków, czy to zbożowych, czy warzywnych, obgryzałem nawet i korzenie drzew, i krzewów rozmaitych, a wszystko mi smakowało. Rzadko kiedy spotykałem się z braćmi i siostrami, a nawet, co prawda, wołałem się z nimi nie spotykać, bo zawsze mi smutne wieści przynosili o reszcie rodzeństwa. Wyobraź sobie, że drapieżny kret pożarł trzech najstarszych moich braci, a dwie siostry, wyrzucone na powierzchnię ziemi w czasie orania pola, pochwycił na jeden łyk czarny ptak, zwany krukiem. To straszna rzecz, jak wiele niebezpieczeństw zagraża nam w młodocianym wieku.

Ja jednak uchowałem się jakoś. Przez zimę siedziałem głęboko w ziemi, ażeby uniknąć mrozów i zalewów wodnych, które bardzo są niedobre dla zdrowia. Na wiosnę czułem się coraz silniejszy i apetyt miałem doskonały, a pod jesień urosłem znacznie, zawsze jednak wyglądałem, jak biały, spory robaczek.

Pewnego rana ogarnęło mnie dziwne jakieś odrętwienie, nie mogłem nic jeść, ani się poruszyć z miejsca, sen mię zmorzył i wkrótce usnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, ale gdym się przebudził, mroźny wiatr już dmuchał, musiało być niedaleko do zimy.

Co jednak jest najdziwniejsze, przebudziłem się w odmienną całkiem postaci. Miałem skrzydełka, sześć łapek i te ładne oczki czarne, któremi na ciebie patrzę. Byłem prawie taki, jak dziś, ale skrzydełka moje wierzchnie miały barwę znacznie jaśniejszą. I znów całą zimę spędziłem w głębi ziemi, dopiero w tym roku, w Maju, wyszedłem na świat Boży.

Od tej pory bardzo wesoło czas spędzam, mam mnóstwo towarzyszy, i wieczorami zbieramy się i bawimy wspólnie. Zajadamy rozmaite liście, topolowe, wierzbowe, klonowe,

najwięcej nam smakują dębowe, a i liście kasztanów są wyborne.

Ale zagadaliśmy się, a tam towarzysze muszą mnie wyglądać, bo mieliśmy się dziś zgromadzić tam w gaju nad strumykiem. Do widzenia, moja panienko, jutro pewnie się zobaczymy.

A odlatując, chrabąszcz powiedział jeszcze sam do siebie:

— Szkoda, że ta lizska nie ma skrzydełek; milutka jest i bardzo mi się podobała. Gdyby umiała latać, zabrałbym ją z sobą i zabawiłaby się trochę. (d. c. n.).

Zagadka.

Niby zwierz, ryba niby,
Jada korę i ryby,
Ma łuskę, włos i puch,
Przy pracy z niego zuch,
Ścina drzewa niemałe,
Buduje wioski całe,
Groble, chatki, a w chacie
Śpi na liścianej macie,
Porządek lubi tak,
Jak żaden zwierz ni ptak,
Ludziom zeń przykład brać!
Jak to stworzenie zwać?

Łamigłówka krzyżyk.

		E		
		R		
S	U	U	U	S
		R		
		M		
		O		
		L		

Poprzestawiać litery tak, aby utworzyć imiona dwóch sławnych mężów starożytnych. Litera środkowa powinna być wspólna obu imionom.

Rozwiązania do N-ru 45-g

Zagadki:

Żarna.

Łamigłówki kryształowej geograficznej:

		R		
		D	O	N
R	O	D	A	N
		S	A	N
		N		